



# KSIĄDZ KRZYSZTOF GRZYWOCZ

---

## WSPOMNIENIA

Piotr Kunce  
23 VIII 2017

[...]

Jakoś w drugiej połowie lat 90. pojawił się w opolsko-gliwickim seminarium w Nysie, jako kolejny (chyba czwarty) ojciec duchowny. Znacząco różnił się od pozostałych ojców. Nie opowiadał o przeczytanych książkach ani o wydarzeniach z duszpasterskiego doświadczenia. Nie był teoretykiem ani praktykiem. Był duchownym i terapeutą. Ktoś wtedy powiedział, że był najwyższej klasy terapeutą, a kwalifikacje i uprawnienia wynikające z jego doświadczenia oraz wykształcenia posiadało zaledwie kilku terapeutów w kraju. Konferencje i kazania ks. Krzysztofa, poza zwięzłością i precyzją tematyki, wyróżniał jakiś rodzaj pogłębionej logiki. Sam w sobie był on bowiem człowiekiem nadzwyczaj spokojnym, cichym. Niech to nie zabrzmie pejoratywnie, ale czasem sprawiał wrażenie poniekąd oderwanego od czasu i przestrzeni, choć oderwanym zdecydowanie nie był. Myślę, że prowadził pogłębione życie modlitewne. Przygotowując mikołajkowy parodystyczny spektakl ukierunkowany na dowcipne aluzje pod adresem seminaryjnych wykładowców i moderatorów, studenci sportretowali swojego ojca duchownego (w pierwszym roku jego posługi) jako rowerzystę, który pojawił się na scenie tylko raz i wypowiedział bodaj jedno słowo. To był człowiek aktywny fizycznie, uczciwie dbający o komplementarny rozwój duszy i ciała. Wtedy – rowerzysta, a teraz dowiaduję się również, że aktywnie chodził po górach i to nie byle jakich. Wędrówki w wysokie góry, ku niebu, z pewnością było u niego nie tylko rekreacją...

Był zawsze dostępny. Z czasem jednak coraz trudniej było umówić się z nim na rozmowę. Były kolejki. Podobnie, jak do jego konfesjonału, gdzie wszystko przebiegało inaczej i trwało dłużej. Trudno powiedzieć, ilu studentom i w jaki sposób pomógł. Wiadomo, że dzięki przeprowadzonym z nim rozmowom wielu wahających się kandydatów do święceń podejmowało odważne decyzje dotyczące swojej przyszłości: jedni szli na urlopy dziekańskie, inni odchodzili z seminarium zupełnie, niektórzy udawali się na różnego rodzaju terapie, a duża część odważniej szła do przodu. Specyfika posługi ks. Grzywocza wyklucza prowadzenie jej wnikliwych charakterystyk czy nawet statystyk. Każdy, kto z nim wtedy rozmawiał, czuł się traktowany poważnie. Dany był mu dar umiejętności dojrzałego traktowania młodych, formalnie tylko dorosłych, mężczyzn. Związane z nim wspomnienia sprzed lat układają mi się w ciąg konstruktywnych wrażeń. Z czasem stał się popularnym w regionie i w kraju kierownikiem duchowym, kaznodzieją, rekolekcjonistą, spowiednikiem, autorem książek. Pełnił też posługę diecezjalnego egzorcysty. Podobnie jak niektórzy nauczyciele szkół nauczycieli, a lekarze – lekarzy, tak on realizował istotne zadania posługując jako ksiądz dla księży.

Pisząc te słowa, wiem, że zaginął w Alpach. Prowadzona akcja poszukiwawcza, w ramach której ratownicy podkreślali, że zawsze szukają żywego człowieka, została zakończona. Ks. Krzysztof został uznany za zaginionego. Mógł wpaść do trudno dostępnej szczeliny lub zostać przysypany jakimś ziemnym czy kamiennym osuwiskiem, przez co trudno go teraz wypatrzeć. Masyw górski, w którym zaginął, nie należy do najmniejszych. Z każdym dniem i nocą maleją szanse na to, że się odnajdzie i wróci do swoich rozlicznych i potrzebnych posług. Znane są przypadki cudownych, nieprawdopodobnych ocalań. Pięć lat temu właśnie w Alpach, odnaleziono po kilku dniach poszukiwań 70-latkę, który utknął w lodowej szczelinie. Przeżył, bo miał z sobą niewielki zapas jedzenia i płynów. Ale wiemy też, że niektórych wędrowców po wyjściu w góry nie odnaleziono już nigdy. Chciałbym, żeby historia ks. Krzysztofa Grzywocza skończyła się optymistycznie. Chciałbym przede wszystkim po ludzku zrozumieć to, co się stało, ale nie łudzę się, że zrozumieć...

Te wydarzenia nasuwają jeszcze jedną refleksję. Nigdy lub prawie nigdy (ale raczej – nigdy) nie wiemy, kiedy robimy coś ważnego po raz ostatni. I pewnie dlatego wykonujemy czasem byle jak te rzeczy, do których powinniśmy przyłożyć się bardziej. Spisując w tej chwili swoje nieskładne myśli, nie wiem, czy będzie mi dane jeszcze kiedyś coś napisać. Mam nadzieję, że tak, ale czy mogą być tego pewni? Gdybym wiedział, że te wspomnienia są moim ostatnim tutaj czy ostatnim w ogóle tekstem, czy napisałbym je tak samo, czy może inaczej? A jeśli inaczej, to czym by się różnił? Czy, gdybym wychodząc z domu, wiedział, że ostatni raz widzę się z żoną, z synami, pożegnałbym się tak, jak zwykle, czy jakoś inaczej? Czy, gdybym wiedział, że uczestniczę w ostatniej w życiu Mszy Świętej, uczestniczyłbym w niej tak samo, czy inaczej? Czy ksiądz, wiedząc, że odprawia ostatnią w życiu Eucharystię, sprawowałby ją tak samo? A jeśli inaczej – to jak? Może warto, choć to trudne, starać się zminimalizować potencjalny niedosyt „ostatniego razu” tego, co ważne...? Ostatnie chwile rozgrywają się czasem nagle, gwałtownie i nie dają szans na refleksję. Wierzę, że jeśli Msza Święta odprawiona przez ks. Krzysztofa w czwartkowy poranek w szwajcarskim Betten była jego ostatnią, to jego ewentualny niedosyt był znikomy.

